

## **Gnieźnieńskie Forum Ekspertów Turystyki Kulturowej**

Pytanie 52

**Czy i kiedy artykuły naukowe tracą swoją aktualność  
w kontekście prezentowanych badań?**

**dr Piotr Zmyślony, UEP Poznań**

Rzetelny tekst naukowy powinien zawierać: analizę dotychczasowego dorobku literaturowego w temacie, którego dotyczy, metodykę przeprowadzonego badania i prezentację jego wyników, a także wyprowadzone na ich podstawie wnioski i rekomendacje. Wszystko to powinien poprzedzać wstęp będący prezentacją koncepcji publikacji z jasno wyznaczonym problemem i/lub celem oraz zakresami, w tym zakresem czasowym. Z tym ostatnim wiąże się bezpośrednio lub pośrednio czas przeprowadzenia badań dla potrzeb artykułu. W związku z tym potrzebne jest, żeby każdy badacz zadał sobie pytanie, czy jego badania są (jeszcze) aktualne, aby można je było prezentować i na ich podstawie formułować wnioski. Problem ten odnosi się także do zagadnień związanych z turystyką kulturową. W związku z tym poddaję następujący problem do dyskusji:

***Czy i kiedy artykuły naukowe tracą swoją aktualność w kontekście prezentowanych badań? Czy można wyznaczyć okres począwszy od zakończenia badania, w którym badania powinny być opublikowane? Czy wartość tekstu naukowego powinno mierzyć się "świeżością" czy aktualnością przeprowadzonych badań, czy też ich uniwersalizmem, czyli umiejętnością określenia trafnego, czyli bardziej uniwersalnego, pozaczasowego, problemu badawczego oraz jakością formułowania wniosków, które można zastosować w szerszym wymiarze niż studium przypadku i czas, którego dotyczą? Co wreszcie różni tekst naukowy od raportu badawczego tworzonego na zlecenie organizacji i instytucji, na bazie których wielu autorów tworzy artykuły i inne pozycje naukowe? Na koniec, jaka jest w tym kontekście jakość naukowa polskich i zagranicznych publikacji naukowych z zakresu turystyki (kulturowej) ?***

**Odpowiedzi:**

**Dr hab. Dariusz Dąbrowski, prof. UKW, Bydgoszcz**

Zadane pytanie – istotnie – porusza ważne zagadnienia, z drugiej jednak strony, samo w sobie – co postaram się wykazać niżej, jest nietrafione i w jakimś stopniu naiwne.

Zacznijmy właśnie od wstępnego rozpatrzenia tego, bądź co bądź, ciężkiego zarzutu, aby powrócić do niego w dalszej części odpowiedzi.

Na początek anegdota. Janowi Styce, znanemu ze swej religijności malarzowi, miała się ukazać Matka Boska, która poprosiła, by „malował ją nie na kolanach, lecz dobrze”. Już tą opowieścią dałoby się, przy pewnej dozie złośliwości, zamknąć dyskusję nad postawionym pytaniem. Powinniśmy po prostu pisać teksty dobre, a cała reszta (szczególnie metodologia) pełni tylko funkcje pomocnicze. Nie w tym przecież jednak rzecz, by się nawzajem bezsensownie atakować. Mamy całkiem poważnie zastanawiać się nad zagadnieniami ważnymi dla rozwoju nauki/nauk o turystyce.

Rozpatrzymy więc po kolei kwestie poruszone w pytaniu.

**1. „Rzetelny tekst naukowy powinien zawierać”:**

a) **„analizę dotychczasowego dorobku literaturowego w temacie, którego dotyczy”:** abstrahuję już od użycia przez pytającego terminu „dorobek literaturowy” i przechodzę do sedna. Otóż moja odpowiedź brzmi – i tak, i nie. To zależy, z jakiego rodzaju pracą naukową mamy do czynienia. Jeśli jest to bibliografia, „dorobek literaturowy” powinien być przedstawiony w komplecie (co jest zresztą w praktyce prawie niemożliwe). Zasadniczo, choć już z pewnymi zastrzeżeniami, można to założenie przyjąć do prac naukowych „na stopień”. Umiejętność zebrania literatury i jej znajomość są bowiem jednymi z elementów ukazania sprawności warsztatowej oraz stanu wiedzy kandydata do stopnia naukowego. W wypadku innych prac próby sporządzenia bibliografii zagadnienia są niepotrzebne i czasami wprost szkodliwe, co oczywiście nie oznacza, że autor tekstu jest zwolniony ze znajomości prac poprzedników (tą wykazuje się budując narrację, tworząc faktografię i formułując wnioski). Dlaczego uważam, że opatrywanie każdego tekstu „wstępem bibliograficznym” jest niepotrzebne i zgoła błędne warsztatowo. Aby to wyjaśnić, posłużę się przykładami. Pierwszy zaczerpnąłem z mojego głównego pola badawczego. W bardzo solidnej monografii L. Wojtowycza *„Knjaża doba na Rusi: portrety elity”* (Bila Cerkva 2006) znajdujemy rodzaj modułu bibliograficznego. Umieszczonych w nim zostało około 3500 pozycji dotyczących tematu. Autor lojalnie zaznaczył przy tym, że częściowo z tych prac nie korzystał, lecz kierował się chęcią stworzenia rodzaju przewodnika bibliograficznego. W tym jednak rzecz, że piszący te słowa, podejmując temat zbieżny, choć – trzeba dodać – zawierający się w zakresie rozprawy Wojtowycza, i rygorystycznie stosując zasadę cytowania wyłącznie prac wykorzystanych dołożył do tego zestawienia jeszcze kilkaset pozycji. Czy to znaczy, że działanie Wojtowycza było pozbawione sensu? Otóż nie. Chodzi jedynie o podkreślenie, że nie ma sensu, szczególnie w drobnych pracach, silić się na próby tworzenia „pełnych bibliografii zagadnienia”. Szkoda czasu i zachodu. Od tego są albo powinny być fachowe opracowania. Naturalnie, nie oznacza to, że nie należy rzetelnie zapoznać się z podstawą bibliograficzną danego tematu. To jest obowiązek każdego badacza. Cytować jednak trzeba wyłącznie pozycje niezbędne dla tematu, a poza tym stosować system odnośników („w tej, a tej pracy podana została starsza literatura”).

Przykład drugi jest oczywiście powiązany z pierwszym, ma jednak charakter bardziej teoretyczny. Chyba zgodzimy się z założeniem, że w nauce (przynajmniej w znanych mi jej gałęziach) nie występują zagadnienia całkowicie odseparowane od innych. Weźmy przykładowo taki temat, jak prezentację danego ośrodka jako „destynacji turystycznej”. Założmy przy tym, że w opisywanym miejscu znajduje się pole znanej bitwy, romański kościół, barokowy pałac, eklektyczna zabudowa mieszkalna, kilka dzieł malarzy różnych okresów, park krajobrazowy, zabytkowy zakład produkujący pociągi, żył tam zaś ceniony powieściopisarz. Powstaje pytanie, jaki zakres prac mamy cytować? Gdybyśmy przyjęli uwagę dr. Zmyślonego o konieczności „analizy dotychczasowego dorobku” utonęlibyśmy w przestworze oceanu fachowej literatury z zakresu historii, historii sztuki, przyrodoznawstwa, kolejnictwa, biografistyki itd.

Również z przedstawionego wyżej względu silnie się na umieszczanie w każdej pracy „bibliografii zagadnienia” okazuje się bezcelowe. Nigdy nie będzie ona bowiem pełna, także ze względów na złożoność właściwie niemal każdego z podejmowanych tematów. Wracamy więc do tego samego momentu co przed chwilą, wymagającego ponownego podkreślenia, że musimy znać prace poprzedników, ale cytujemy je tylko wtedy, kiedy trzeba, ewentualnie odsyłając zainteresowanych do poszczególnych „fachowych” pozycji.

b) **„metodykę przeprowadzonego badania”:** od razu zapytam, po co? Podkreślam też – jak w punkcie poprzednim – że w niektórych pracach – owszem, tak (rozprawy poświęcone studiom nad metodologią), ale w innych – zdecydowanie nie. Za moją opinią stoi przy tym zarówno teoria, jak i praktyka. Najpierw jednak przykład z życia. W pewnej polskiej uczelni

artystycznej, pani metodolog przygotowująca studentów do napisania prac licencjackich i magisterskich wymaga, by sporządzali oni „wstępy metodologiczne”. Wychodzi z tego – jako żywo – parodia. Każdy z tekstów opatrzoney zostaje tymi samymi uwagami, tymi samymi odniesieniami do literatury metodycznej, które nijak się mają do zawartości merytorycznej rozprawki, ale muszą być, bo pani się wydaje, że to właściwe. Tymczasem takie działanie kompletnie niczemu nie służy (może za wyjątkiem – przechodzimy już do prac publikowanych – metodologom, łowiącym punkty za cytacje (ot, signum temporis naszych czasów „dominacji korporacji” i efekt nienormalnego systemu oceny).

Chyba zgodzimy się (idąc za słusznym spostrzeżeniem dr. Zmyślonego), że każdy element pracy powinien zostać zrealizowany rzetelnie. Wyobraźmy sobie przy tym, że uznajemy konieczność umieszczania wszędzie „wstępu metodologicznego”. Jakie będą rezultaty przyjęcia tych złożań? Otóż będzie trzeba precyzyjnie określić swoją „podstawę metodologiczną”, ale... zaraz, zaraz, na jakim poziomie? Czy będzie można ograniczyć się do „metodologii przedmiotowej, lokalnej”, czy też iść dalej, do zagadnień bazowych dla teorii nauki, a więc określić swój stosunek choćby do takich problemów, jak „kategorie semantyczne”, „wynikanie”, „informacje potencjalne i efektywne”, „dedukcja a indukcja” czy też „budowanie narracji”. Nawet jednak, jeśli poprzestaniemy na „metodologii przedmiotowej” nie wystarczy bezrefleksyjne zrelacjonowanie poglądów innych autorów, co często mylnie rozumie się jako „stworzenie bazy metodologicznej” pracy. Nie można zadowolić się stwierdzeniami „MacCannell napisał..., a Gunn uważała...”. Trzeba będzie tych MacCannella i Gunn zestawzić z poglądami przedstawicieli innych nauk. Bo przecież – posługując się konkretem – jeśli będziemy pisać artykuł o wystawach jako atrakcjach turystycznych, wypadłoby dla uzyskania odpowiedniej jakości metodycznej nie ograniczać się do zrelacjonowania poglądów Veverki, Kolba i innych, lecz trzeba byłoby zastanowić się nad metodologią i strukturą oraz rolą ekspozycji w oparciu o literaturę fachową – muzealniczą (przykładowo F. Waidacher, J. Świecimski, Y. Herreman czy M. Belcher). Ale dokąd ta droga prowadzi? Otóż w wypadku „wstępów do każdej pracy” - prowadzi donikąd (inną sprawą są rozprawy specjalistyczne”). Sam czytałem - na przykład w TK - artykuły, w których niczego nie wnoszące, ale będące trybutem dla „nakazu metodologów” rozważania wynaturzały strukturę tekstu, zabierając miejsce na rozważania nad sednem problemu.

Wniosek co do tej kwestii jest następujący. Wystarczy jeśli we wprowadzeniu określimy, jaką metodę badań stosujemy (jeśli jest to konieczne i nie da się zauważyć). Tak więc – przechodząc do konkretów – tworząc waloryzację wystarczy stwierdzić, że dokonuje się tego w oparciu o metodę zaproponowaną przez A. Mikosa von Rohrscheidt (2010) i zainteresowanych metodologiczną stroną zagadnienia odesłać do prac tegoż autora oraz ewentualnie jeszcze do Marka Nowackiego (*Atrakcje turystyczne, koncepcje... 2012*), z zaznaczeniem, że tam sobie znajdą ciekawe informacje na temat i uzasadnienie danej metody.

Powyższe wnioski w pełni potwierdza praktyka. W tysiącach wartościowych i wysoko cenionych przez badaczy prac z wielu dziedzin wiedzy, autorzy nie bawili się w tworzenie z natury rzeczy schematycznych i niczego nie wnoszących „modułów metodycznych”. O swojej dojrzałości warsztatowej świadczyli zaś po prostu treścią tekstów.

c) **„prezentację jego wyników, a także wyprowadzone na ich podstawie wnioski i rekomendacje”**: abstrahuję od tego, że Autor pytania dokonał swoistego dubla semantycznego (a może to świadomie zastosowane „incrementum”?), bo przecież „prezentacja wyników” to właśnie „wyprowadzenie wniosków i przedstawienie rekomendacji” – jeśli coś takiego trzeba zrobić). Zasadniczo zgadzam się z sednem stwierdzenia. Każda praca musi zawierać ten element.

d) **Wszystko to powinien poprzedzać wstęp będący prezentacją koncepcji publikacji z jasno wyznaczonym problemem i/lub celem oraz zakresami, w tym zakresem czasowym:** w gruncie rzeczy zagadnienie to omówiłem już częściowo w punktach 1a i 1b. Zaznaczę więc tylko, że w każdej pracy powinny być określone w sposób jasny jej koncepcja i zakres. Najlepszym miejsce by tego dokonać jest oczywiście ta jej część, którą za teorią retoryczną nazwiemy „przedstawieniem sprawy” („propositio”). Niech będzie, że utożsamimy ją ze „Wstępem”.

Pora teraz przejść do odpowiedzi na właściwe pytania.

2a) **Czy i kiedy artykuły naukowe tracą swoją aktualność w kontekście prezentowanych badań?**

Pytanie to – moim zdaniem – jest pozbawione znaczenia. Jak mianowicie mamy to ocenić i kto to ma zrobić, poza autorem i redaktorami? To wszystko zależy od rodzaju pracy, perspektywy, z jakiej będzie oceniana, ba, od jednostkowego wypadku. Można też powiedzieć, że prace naukowe mają taką specyfikę, że – z jednej strony – mogą utracić znaczenie zaraz po publikacji (w sferze faktografii i aktualności badawczej, gdy okazuje się, iż na przykład wybuchł wulkan i zmiótł z powierzchni ziemi opisaną atrakcję), a – z drugiej – nie tracą jej *ex definitio* nigdy. Przecież stają się świadectwami poziomu badań na danym etapie ich rozwoju, wchodzą więc do zasobu historiograficznego danej dziedziny wiedzy. Czasami zaś mają znaczenie antykwaryczne, informując mniej lub bardziej fachowo o przedmiotach, zjawiskach, procesach, które przestały istnieć, stają się ich świadectwami, odbiciami.

A jak się to ma do „wartości badawczej” (tu od razu trzeba byłoby przeprowadzić fachową, metodologiczną dyskusję nad pojęciem i jego rozumieniem) tekstu? Otóż, można powiedzieć, za każdym razem indywidualnie, bo czynników przy ocenie (tu znów dyskusja metodyczna nad zagadnieniem) jest dużo i występują one w różnorodnych konfiguracjach.

2b) **Czy można wyznaczyć okres począwszy od zakończenia badania, w którym badania powinny być opublikowane?**

Tu znów trudno o jednoznaczną odpowiedź. W wypadku niektórych tematów (np. wszelkie formy waloryzacji, opisu tras turystycznych, relacje z wydarzeń itp.) z pewnością tak. Ale jak to zrobić? Nie wiem. Bez wątplenia trzeba starać się, by prace były aktualne, tzn. uwzględniały na przykład najnowszy stan wiedzy i przedstawiały aktualny obraz zjawisk. To chyba wszystko.

2c) **Czy wartość tekstu naukowego powinno mierzyć się „świeżością” czy aktualnością przeprowadzonych badań, czy też ich uniwersalizmem, czyli umiejętnością określenia trafnego, czyli bardziej uniwersalnego, pozaczasowego, problemu badawczego oraz jakością formułowania wniosków, które można zastosować w szerszym wymiarze niż studium przypadku i czas, którego dotyczą?**

Problem jest postawiony w sposób zasadniczo błędny. Czym innym jest „świeżość” tekstów, polegająca, jak zaznaczyliśmy wyżej, choćby na solidności bibliograficznej (uwzględnianie w miarę możliwości i potrzeb najnowszych ustaleń) oraz na podejmowaniu tematów aktualnych, w znaczeniu, nie „zajechnych” gruntownie w literaturze. Czym innym jest „jakość formułowania wniosków”. Tutaj decyduje warsztat badacza. Jeszcze czymś innym „umiejętność określenia trafnego, czyli bardziej uniwersalnego, pozaczasowego, problemu badawczego”. Jeśli chodzi o tę kwestię, niech mi łaskawie pytający wyjaśni, co ma na myśli? Co to znaczy „pozaczasowy problem badawczy”. Moim zdaniem, to prawie oksymoron, nie licząc oczywiście ustaleń o charakterze metodologicznym i – przede wszystkim – podstaw warsztatowych.

Krótko mówiąc, wartość tekstu powinno się mierzyć w zależności od założonego w nim celu i warsztatowego poziomu jego realizacji (znów niejednoznaczne pojęcia do zażartej

dyskusji). Tekst powinien spełniać określone wymogi techniczne (przejrzystość i jakość odniesień do źródeł i literatury (tu przy okazji skarga na redakcję TK, że wybrała fatalny harvardzki system cytacji). Tekst powinien być tworem oryginalnym, zawierać nowości co do faktografii, nowe interpretacje zjawisk, pojęć itp. (znów w zależności od charakteru pracy). Powinien wreszcie być napisany w sposób czytelny, a nie hermetycznym, niezrozumiałym metajęzykiem, który niektórzy autorzy uważają za świadectwo ich wyjątkowej mądrości (zob. jak się wygłupiałem w punkcie 1c). Inaczej mówiąc wartościowy tekst naukowy, powinien być symfonią *inventio, dispositio i elocutio*, co jest – nawiasem mówiąc – doskonałym przykładem wspomnianej przez dr. Zmyślonego „uniwersalności i pozaczasowości” (dlaczego nie „ponadczasowości”, co tu robi „pozaczasowość?”), która może wystąpić w nauce.

**2d) Co wreszcie różni tekst naukowy od raportu badawczego tworzonego na zlecenie organizacji i instytucji, na bazie których wielu autorów tworzy artykuły i inne pozycje naukowe?**

Moim zdaniem, wyłącznie miejsce publikacji. Czasami także: sposób organizacji narracji i cytowania.

**2e) Jaka jest w tym kontekście jakość naukowa polskich i zagranicznych publikacji naukowych z zakresu turystyki (kulturowej)?**

M mojej opinii jest to kolejne naiwne pytanie, na które można odpowiedzieć tylko w jeden sposób: jakość tych prac jest różna.

**dr hab. Armin Mikos von Rohrscheidt, prof. GSW**

Tytułem wprowadzenia (i aby nie zagłębiać się w boczne wątki) nawiążę do poprzedzającej wypowiedzi prof. Dariusza Dąbrowskiego na temat metodologii badań. Zgadzam się z nią w zupełności (w szczególności w zakresie dotyczącym bezcelowości prezentacji w artykułach szerokiego kontekstu badań, w tym bibliografii) i nieco ją nawet wzmocnię. Otóż nawet kwestie metodologii, które we wstępie do pytania były wymienione jako element solidnego „umocowania” tekstu badawczego w kontekście naukowym, bywają sporne, by wspomnieć choćby o wielości paradygmatów nauk i wynikających z nich metod badań. Są one także różne w poszczególnych podejściach do badania zagadnień turystyki. Badacz turystyki kulturowej bazuje nie tylko na paradygmacie neopozytywistyczno-funkcjonalnym, ale często także np. na interpretatywnym, zdecydowanie lepiej nadającym się np. do analizy ekspozycji muzealnych (w końcu stanowiących cel wypraw turystycznych), a także m.in. miejskich narracji przekazywanych turystom czy w ogóle (szerzej, choć nie w całej rozciągłości) do

analizy percepcji dziedzictwa przez tych ostatnich. To z kolei wywołuje niejednokrotnie opory recenzentów, wywodzących się z innych nauk, które czasem prowadzą do odrzucenia wartościowego tekstu jako nie spełniającego (ich zdaniem) kryteriów naukowości. Prowadząc czasopismo naukowe i mając na co dzień do czynienia ze sporami o dopuszczenie/odrzucenie czy też o zasadniczą przebudowę tekstów, mógłbym podać naprawdę liczne tego przykłady. Zatem już na początku określania „wartości” czy w ogóle „naukowości” badań i opracowanego na ich podstawie tekstu, mamy nie tyle zgodę, co dość znaczny problem, dostrzegalny zresztą w całym obszarze na styku nauk ekonomicznych i humanistycznych oraz społecznych.

Ważny element pytania to „wartość tekstu naukowego”. Chciałbym zwrócić uwagę na niejednoznaczność tego terminu, którą zresztą wyraził już sam Autor pytania. Z jednej strony bowiem owa „wartość” może być oceniana od strony wkładu tekstu i zawartych w nim rezultatów badań do refleksji naukowej w danej dziedzinie, w tym - w niejednym przypadku

– do siły sprawczej jakiegoś przełomu w problematyce badań, na przykład nowej teorii tłumaczącej rzeczywistość, jak to ma miejsce w medycynie, fizyce, w naukach przyrodniczych, ale także w archeologii, psychologii, w filozofii i szeregu innych. Teksty naukowe odnoszące się do turystyki z rzadka tylko mają takie znaczenie, do czego jeszcze powrócę. Dalej, artykuł naukowy może (ale w żadnym wypadku nie musi!) odnosić się do pewnej problematyki jako całości, przykładowo w naszej dziedzinie badań: do typu walorów turystycznych czy sposobu budowy, zarządzania lub dystrybucji jakimś typem produktu turystycznego. Wówczas jego znaczenie jest nie tylko ponadlokalne (bo wyniki mogą być zastosowane na wielu miejscach w wykorzystaniu walorów lub w lepszym przygotowaniu produktu), ale i współtworzone jest – że tak powiem – przez „dłuższą trwałość” rezultatów danej analizy. Otóż przez szereg lat lub może nawet przez dziesięciolecia postulaty (lub gotowe propozycje rozwiązań) sformułowane na podstawie badań mogą być przydatne w działaniach na rzecz organizacji turystyki.

Jednak w tym miejscu należy zaakcentować także aktualność badań, jako czynnik w wielu bardzo przypadkach kluczowy i decydujący o sensie publikacji danego tekstu. Otóż nie wszystkie prace badawcze przeprowadzane są z myślą o długofalowych wynikach, mających krajowe, a nawet globalne znaczenie. Ma to miejsce szczególnie w przypadku dziedzin takich jak nasza. To właśnie w niej lokalne uwarunkowania (jak unikalne typy walorów, polityka turystyczna nawet w skali miasta, strategię organizacji turystyki), zmieniające się preferencje odbiorców ofert i usług, a czasem nawet ważne wydarzenie (jak np. rozgrywane w danym miejscu mistrzostwa sportowe, po raz pierwszy organizowany wielki festiwal czy inna impreza), albo nawet pojawienie się nowych możliwości przyciągania turystów, w postaci m.in. otwarcia tanich połączeń lotniczych - wpływają w decydujący sposób na konieczność elastycznych dostosowań. Dzieje się to głównie na rynku ofert, w tym za pomocą tworzenia z istniejących walorów nowych produktów (tras, pakietów, wycieczek itd.), organizacji wystaw tematycznych, publikacji literatury turystycznej. Ale dostosowanie dotyczy także dalej idących modyfikacji całych systemów organizacji turystyki na danym terenie, zmian w strategiach inwestycyjnych, w modyfikacji miejscowych usług edukacyjnych (przez wprowadzenie języków czy specjalistycznych wykładów w szkołach i uczelniach o profilu turystycznym). Czasem jest tak (a mam na to dowody z własnej aktywności naukowej), że solidne badania potencjału turystycznego obszaru i rzeczywistych preferencji oraz ocen ze turystów, korzystających z oferty miejscowej lub w ramach systemu (np. szlaku) i publikacja artykułu z ich wynikami mogą na przykład powstrzymać decydentów przed poważnym błędem w postaci złej decyzji o charakterze strategicznym, w wyniku której bardzo poważne środki (mowa o wielu milionach) zostałyby przeznaczone na produkty i usługi, a nawet na utrzymywane przez lata miejsca pracy nieadekwatne do potrzeb, czyli po prostu zmarnowane. W takich sytuacjach wartość artykułu mierzona jest właśnie jego – jak to ujmuje autor pytania – „świeżością” i nie ma tu wiele do rzeczy uniwersalne odniesienie (bo takie może istnieć, albo może go nie być).

I jeśli tak szeroko się dziś mówi o przydatności nauk (a nawet uzależnia przyznawanie grantów od ich konkretnych aplikacji) to w naszej dziedzinie tu właśnie widzę ową bezpośrednią przydatność – nie negując przy tym w żadnym razie pożyteczności wspomnianych wyżej tekstów o znaczeniu ponadlokalnym, tym bardziej tych najrzadszych w naszej dyscyplinie, zawierających przełomowe wyniki badań i odpowiadające im tezy. Myślę jednak, że te ostatnie w przypadku turystyki, pojawiają się raczej w obszerniejszych monografiach, gdzie jest miejsce zarówno na przedstawienie ich szerszego kontekstu, detaliczną prezentację metodologii badań i dobre rozwinięcie części wnioskowej. Do takiego wniosku dochodzę śledząc publikacje naukowe z zakresu turystyki kulturowej - tezy o naprawdę przełomowym znaczeniu zazwyczaj ukazywały się właśnie w publikacjach książkowych.

W mojej opinii w naukowym czasopiśmie jest i powinno być miejsce zarówno dla tekstów o znaczeniu ponadlokalnym (czy uniwersalnym, choć takich zawsze będzie niewiele) – w przypadku których mniej liczy się ich „świeżość”, co odniesienie do szerszych problemów i ich rzetelne ujęcie oraz solidnie uzasadnione propozycje rozwiązań – jak i dla tekstów o znaczeniu „wycinkowym”, w których wypadku decydująca o ich przydatności może być szybka publikacja. I nie można takich tekstów wysyłać do niszy „raportów badawczych przygotowywanych na zlecenie organizacji i instytucji”. Bo co by było, gdyby nigdy nie ukazał się tekst, którego opracowania nikt nie zlecił? A nie zlecił, bo na przykład nie miał w tym interesu, realizując błędną strategię, co do której on akurat był przekonany? Tymczasem badacz albo taką analizę przeprowadził i w porę opublikował (a jej wyniki wymusiły podjęcie dyskusji na nowo i zapobiegły podjęciu długofalowych a nieadekwatnych do potrzeb działań i zmarnowaniu wielkich nakładów). Albo też – w ramach swojej regularnej działalności czy na przykład przygotowywania zbiorczej publikacji na dany temat - ukazały się (we właściwym czasie – może nawet przypadkiem) teksty zawierające wyniki takich analiz – i wywarły podobny skutek.

Dla podkreślenia znaczenia tekstów wycinkowych i może „chwilowych”, a świeżych posłużę się dwoma przykładami:

Niedawno (a może właśnie dawno, bo... poprzedniej jesieni!) przeprowadziłem badanie struktury usług przewodników miejskich w Poznaniu oraz obiektów i tras zwiedzanych przez grupy turystyczne korzystające z tych usług. Wyniki tego badania – w postaci artykułu – czekają od pół roku na publikację w czasopiśmie naukowym, które tekst zamówiło do obszerniejszego tomu. Tymczasem - tu i teraz, w Poznaniu późną wiosną i latem roku 2014 - nie tylko nader szybko zadecydowano, ale niemal od razu przystąpiono przebudowy systemu ruchu autokarów turystycznych w historycznym śródmieściu. Oczywiście – jak zwykle – nie wzięto przy tym pod uwagę zdania przewodników, którzy jak jeden mąż ustnie i pisemnie zgłaszali swoje zastrzeżenia, uzasadniając je oczekiwanymi uciążliwościami dla turystów. Gdyby tekst artykułu ukazał się – powiedzmy – w 3-4 miesiące po jego nadesłaniu do redakcji, może nawet w pół roku (czyli przed miesiącem!), mógłby stanowić argument w rozmowach, ponieważ ukazuje faktyczne zachowania turystyczne na tym właśnie obszarze. Tymczasem, jeśli ukaże się on nawet za dwa tygodnie – to (jak to elegancko wyraził mój przedmówca) może już tylko „wejść do zasobu bibliograficznego”. Nie czuję się historykiem i nie mam takich ambicji. Nauka, którą uprawiam ma natomiast ambicje bycia użyteczną. Ten jej wycinek już raczej użytecznym nie będzie.

Inny przykład z własnej działki: duży system eksploatacji turystycznej dziedzictwa, czyli Szlak Piastowski. Uzyskany dzięki badaniom z roku 2012 aktualny obraz turystów, zwiedzających obiekty szlaku – tu i teraz – został skonfrontowany z szeroko zakreślonymi planami modyfikacji całego systemu (za którymi już niedługo pójną naprawdę duże pieniądze na modernizację infrastruktury, unowocześnienie wystaw, wprowadzenie nowych produktów lokalnych i usług. A tu, w ostatniej chwili, udało się zdobyć odpowiedź na podstawowe w mojej opinii pytanie: dla kogo ma być ten szlak? Kto tu przyjeżdża, czego szuka? Czy to, co właśnie chciano zatwierdzić do realizacji, ma sens, jeśli – jak się okazuje w wyniku badań zachowań i popytu – wiele z usług byłoby produktami na „wczoraj”, a nie na jutro, na dodatek nie uwzględniającymi właściwej grupy odbiorców? Tym razem badanie okazało się pożyteczne, zapewne oszczędzono wiele środków i ludzkiej energii, jest szansa na wykorzystanie ich zgodnie z oczekiwaniami turystów. Nie potrzeba mówić, że tak by nie było, gdyby badania nie zostały opublikowane w ciągu trzech miesięcy od ich zakończenia i nie były udostępnione każdemu, kto mógł z nich skorzystać.

Inny argument: otóż także przeglądając owe artykuły o – jak to ujęto w pytaniu – uniwersalnym znaczeniu, natrafiamy na źródła i uzasadnienia – a są nimi nie tylko „zlecane raporty”, ale także szczegółowe artykuły (por zarówno monografię G. Richardsa, jak i A. Steineckiego, fundamentalne dla turystyki kulturowej (a sam także w polskiej monografii

tego fenomenu posługuję się opracowaniami przypadków). Mój wniosek: teksty wycinkowe mają kluczowe znaczenie dla rozwoju wiedzy, którą się zajmujemy, czyli spełniają swoje zadanie m.in. współtworząc bazę (wyjściową) dla tworzonych syntez, kreatywnych i nowatorskich koncepcji rozwiązań i produktów czy nawet nowych teorii. Trudno sobie wyobrazić monografię dotyczącą jakiegokolwiek problematyki z turystyce (w tym kulturowej), której wywody – o ile nie są one w całości wnioskami z szerzej zakrojonego badania, przeprowadzonego w kontekście przygotowywania dzieła - choć w części nie byłyby oparte na takich tekstach. A jeśli już takie książki nie odwołujące się do szczegółowych artykułów znajdujemy, to przy dokładniejszym przeglądzie okazuje się, że mają one mizerne pokrycie w zweryfikowanych faktach. Mogę służyć licznymi przykładami, choć wolałbym w tym miejscu nie dezawuować dorobku nikogo z nader licznej krajowej grupy owych „autorów-nie-badaczy”.

Zatem na pytanie „Czy i kiedy artykuły naukowe tracą swoją aktualność w kontekście prezentowanych badań?” odpowiem – w obszarze takim jak turystyka, opierającym się w znacznej mierze na czynniku ludzkim (jego poziomie i ukierunkowaniu edukacji, ale także (niekoniecznie tylko sezonowych, jednak nie wiecznych) preferencjach w zakresie wykorzystywania wolnego czasu, jednak zmiennej sytuacji politycznej (otwartość granic i skłonność turystów do wyjazdów do poszczególnych krajów) i ekonomicznej (wzrost lub redukcja zasobów wolnych całych grup społecznych), wiele z nich niestety traci aktualność, a przynajmniej tę jej część, którą zdefiniowałbym terminem „potencjalnej użyteczności”. I – niezależnie od tego, kto lub co spowodowało opóźnienie – w wielu przypadkach negatywne skutki ich niewykorzystania są realne i policzalne. Na pytanie „Czy można wyznaczyć okres, w którym badania powinny być opublikowane?” – odpowiem: w niektórych przypadkach można, w innych nie. Wiele zależy od polityki wydawcy, który może preferować w „kolejce” teksty zawierające wyniki badań potrzebne lub przydatne szybko albo choćby dać się namówić na szybszą ścieżkę w konkretnym przypadku. Może to też zależeć od właściciela danych będących rezultatem analizy. Czasem mam wrażenie, że najmniej zależy od autora. Być może w kolegiach redakcyjnych czasopism i serii naukowych, radach instytutów badawczych, i innych gremiach powinny – w imię użyteczności badan naukowych – odbywać się regularne inwentaryzacje złożonych tekstów. A jeśli owe gremia nie są do niej skłonne – być może udowodniony znaczący odsetek tekstów skutecznie zastosowanych w rozwiązaniach praktycznych powinien być jakoś grantowany (przy przyznawaniu dotacji na działalność wydawniczą i – czemu nie – także przy parametryzacji czasopism, przynajmniej w niektórych dziedzinach. W naszej – na pewno.

Co do części pytania o różnicę pomiędzy tekstem naukowym a „raportem badawczym” tworzonym na zlecenie organizacji i instytucji, to, podobnie jak profesor Dąbrowski, uważam, że raport przygotowany z należytą starannością jest pełnoprawnym tekstem naukowym. Mimo różnic w strukturze (które niejednokrotnie zresztą są niewielkie) taki raport zasługuje na ocenę, recenzję i (jeśli jest taka stosowana) na punktację. O nazewnictwie rzeczywiście decyduje głównie miejsce publikacji (na przykład czasopismo naukowe czy monografia z jednej strony albo strona www zamawiającej instytucji lub organizacji – z drugiej).

Także w odniesieniu do wspomnianej „jakości naukowej polskich i zagranicznych publikacji naukowych z zakresu turystyki (kulturowej)” będę zgodny z moim Przedmówcą – jest ona po prostu różna. Choć na pewno jest tak, że panująca od pewnego czasu powszechnie w polskiej przestrzeni naukowej „punktoza” z pewnością wpłynęła na pojawienie się tysięcy tekstów miernych, nie opartych na żadnych badaniach (i to jest prawdziwy problem!) a zaledwie spełniających kryteria publikowania w tym czy innym zbiorze lub czasopiśmie. Jeśli chcemy podnieść poziom naukowej refleksji – to głównym środkiem podniesienia tej jakości winna być walka z tekstami nie opartymi na badaniach i nie zawierających przynajmniej nowych wniosków i naprawdę oryginalnych (uzasadnionych) interpretacji danego fenomenu. Jak tę walkę toczyć – oto materiał na inne pytanie. Ważne, żeby nie okazać



się w niej samotnym Don Kichotem, przestrzegając jakości w pośrodku tych wszystkich, którym na niej nie zależy. Ponieważ w najgorszym (ale możliwym do wyobrażenia) przypadku po swoje wszechmogące punkty wszyscy pójdą gdzie indziej, a nasz szlachetny rycerz, nie doczekawszy się równie szlachetnych (a przynajmniej szanujących się) autorów będzie musiał zamknąć redakcję lub zrezygnować z przygotowywanej zbiorowej publikacji.

**dr hab. Marek Nowacki, AWF Poznań**

Zabierając głos w dyskusji na temat aktualności publikowanych badań, chciałbym przywołać metaanalizę jako metodę polegającą na wtórnej analizie danych, ilościowym uogólnianiu informacji czerpanych z innych publikacji lub źródeł pierwotnych.

Metaanaliza polega na systematycznym przeglądzie literatury przedmiotu badań, uzupełnionym o statystyczną analizę wcześniejszych wyników. Na tej podstawie wyciąga się wnioski. W wielu naukach, a zwłaszcza w medycynie czy w naukach społecznych, metaanaliza uważana jest za najskuteczniejszą metodę służącą weryfikacji hipotez, gdyż wyniki pochodzące z wielu badań są znacznie bardziej wiarygodne niż pochodzące z pojedynczej pracy badawczej.

Jako przykłady takich badań prowadzonych w dziedzinie turystyki można wymienić metanalizy:

- międzynarodowego popytu turystycznego (Crouch 1995, Peng i in. 2014),
- wizerunku turystycznego i lojalności (Zhang 2014),
- modelowania systemu turystycznego (Scarpino 2009).

W wielu przypadkach, dopiero metaanalizy – a więc wtórne analizy danych, wykonane po latach na danych pierwotnych pozwoliły na zweryfikowanie wcześniej błędnie przyjętych hipotez. Nie widzę powodu, dla którego nie należy wykorzystywać metaanalizy w badaniach nad turystyką, a zwłaszcza nad turystyką kulturową.

Peng, B., Song, H., Crouch, G., Witt, S. (2014) A Meta-Analysis of International Tourism Demand Elasticities, *Journal of Travel Research*, doi: 10.1177/0047287514528283.

Crouch, G. (1995) A meta-analysis of tourism demand, *Annals of Tourism Research*, 22 (1), 103-118.

Zhang H., Fu, X., Cai L. Lu L. (2014) Destination image and tourist loyalty: A meta-analysis, *Tourism Management*, 40, 213-223.

Scarpino M. (2010), tourism systems: an analysis of the literature for improved subnational development, *Conferencia Tourism Systems*.

**Prof. dr hab. Andrzej Kowalczyk, UW, Warszawa**

Artykuły naukowe nigdy nie tracą swojej aktualności, jeżeli są faktycznie artykułami naukowymi, a nie np. ekspertyzami wykonanymi na konkretne zamówienie. O nieprzemijającej aktualności tekstów naukowych (nie dotyczy to artykułów "pseudonaukowych") decyduje posłużenie się przez autora (autorów) odpowiednim warsztatem badawczym. Takim, który z punktu widzenia przyjętych założeń teoretycznych (filozoficznych, metodologicznych) i zastosowanej metody sprawia, iż tekst jest naukowy. Ale nie tylko wtedy.

Moim zdaniem artykuł naukowy jest ciągle aktualny nawet wówczas jeżeli nie ma zbyt osadzenia w metodologii i nie proponuje żadnego ujęcia metodycznego, o ile dotyczy problemu, który jeszcze nie został rozwiązany lub nie może być z natury rzeczy rozwiązany, bo dotyczy kwestii ponadczasowej.

Podam przykład z mojego "podwórka". W 1947 r. niejaki John K. Wright opublikował tekst postulujący zajmowanie się geografii "terra incognita", czyli m.in. tematami, które dotyczą rzeczy subiektywnych, nie badanych dotychczas przez geografę, traktowaną jako "opis Ziemi". Dopiero na przełomie lat 60/70. XX wieku rozpoczęła się w geografii tzw. geografia humanistyczna (po części również geografia behawioralna),

której wyróżnikiem stało się zajmowanie przez geografów potrzebami ludzkimi, motywacjami i preferencjami, a w rezultacie - zachowaniami człowieka. To podejście pojawiło się w Polsce na przełomie lat 70/80-tych i zaczęło być coraz szerzej stosowane (m.in. z powodu łatwiejszego dostępu do zagranicznej literatury) po 1989 r.

Wspominam o tym dlatego, że nurt ten (może mniej humanistyczny, a bardziej "percepcyjno-behawioralny") spowodował bardzo wyraźny wzrost zainteresowań turystyką i rekreacją wśród amerykańskich, brytyjskich i także polskich geografów. J. Stachowski, A. Matczak i niżej podpisany przyjęli to podejście "za swoje" w latach 80., przygotowując wówczas prace doktorskie. Obecnie fascynacja tym podejściem u niżej podpisanego osłabła, ale rozumienie, że turystyka (czyli zachowania turystyczne, ruch turystyczny itp.) jest wynikiem potrzeb i motywacji człowieka oraz percepcji otaczającej go rzeczywistości, a nie, że bierze się "znikąd", nie minęło.

Ten przydługi wstęp związany jest z tym, iż z racji wieku (60 lat) i wieloletniego doświadczenia akademickiego (doktorat 1985 r., habilitacja 1995 r., tytuł profesora 2001 r.) byłem i jestem opiekunem wielu prac licencjackich i magisterskich (ca 250-300), promotorem 7 ukończonych i recenzentem ponad 20 prac doktorskich, a także recenzentem kilku rozpraw habilitacyjnych i wniosków o tytuł profesora. Nie mówię o recenzjach wydawniczych książek, rozdziałów w pracach zbiorowych, artykułów i grantów, bo nie liczyłem ich.

To oznacza, że wielokrotnie musiałem ustosunkowywać się do kwestii i odpowiadać na pytanie, czy przeczytana przez Panią X i Pana Y literatura przedmiotu była adekwatna do problemu będącego tematem Jej/Jego rozważań w staraniu się o grant, stopień doktora itp. Żeby było jasne - materiały dawane mi do oceny nie dotyczą tylko problematyki związanej z turystyką, ale również z dziedzinami geografii społeczno-ekonomicznej nie mającymi z turystyką nic wspólnego.

### **Do jakich doszedłem wniosków?**

Otóż w niektórych tego rodzaju tekstach (dotyczy to niestety także prac doktorskich w zakresie turystyki) ich Autorki/Autorzy powołują się na literaturę powstałą po 2000 r. (oczywiście jest to rok podany jako "mniej więcej 2000"), rzadko z lat 80.-90. Przyjmuję, że jest to w znacznym stopniu uwarunkowane dostępnością do baz internetowych, gdyż wiele czołowych czasopism nie jest dostępne w najczęściej wykorzystywanych bazach (w np. w bazie AtoZ) sprzed "ery Internetu". W przypadku "Annals of Tourism Research" jest to 1995 r. A więc można przyjąć, że dla niektórych (niestety często są to doktoranci), to czego nie ma w Internecie "nie istnieje".

To z kolei oznacza, że badając dane zjawisko Badacze ci bądź odwołują się do np. Pana X z 2002 r. z uniwersytetu Z w Polsce, pomijając, że do podobnych wniosków doszedł D. Mercer z Australii w swoich artykułach z 1971 r., bądź z 1972 r.

Jednak nie to jest groźne dla nauki. Groźne jest to, że co niektórzy - ograniczając kwerendę do zasobów z ostatnich kilkunastu lat - mogą uważać swoje osiągnięcia za epokowe, podczas gdy ktoś do zbliżonych ustaleń doszedł (czasami nawet w Polsce) w latach 60. czy 70-tych. Nie chcę podawać przykładów, ale zauważyłem, że mało osób pamięta o koncepcji terytorialnych systemów rekreacyjnych i próbuje konstruować swoje własne modele, które ludziom "starej daty" przypominają schematy z lat 70. Oczywiście mamy prawo tak robić, ale rzetelność naukowa nakazuje sprawdzić, co "wymyślono" przed nami.

Reasumując. O "naukowości" tekstu decyduje nie to, czy coś jest aktualne, czy nie, lecz podejście uwzględniające warsztat naukowy. Może w fizyce można ograniczać się do dorobku fizyki w ciągu ostatnich kilkadziesiąt lat, ale w naukach społecznych - a turystyka jest przecież zjawiskiem społecznym - pewne mechanizmy zostały zauważone już w czasach antycznych.

Co do raportów badawczych, to: 1) zależą one po części od intencji zleceniodawcy, 2) zależą do rzetelności (vide niezależności) badacza. Ponieważ intencje zleceniodawcy

muszą - chcąc nie chcąc - być brane pod uwagę, może to mieć wpływ na ich rzetelność naukową. A więc nie są one moim zdaniem tekstami stricte naukowymi. Zresztą kwestię tę podjąłem w opiniowaniu jednego z przedstawionych mi do oceny dorobków naukowych, uchylając się od oceniania książki, która była efektem badań w ramach grantu dotyczącego bardzo konkretnej kwestii.

W zadanym przez Autora pytaniu na samym końcu jest kwestia "...jaka jest w tym kontekście jakość naukowa polskich i zagranicznych publikacji naukowych z zakresu turystyki (kulturowej) ?". Odpowiem krótko: moim zdaniem nie ma tu istotnej różnicy. Opisany przeze mnie wyżej problem występuje zarówno w badaniach polskich, jak i zagranicznych.

***dr hab. Krzysztof Kasprzak, prof. UP w Poznaniu, emeryt***

Odpowiedzi na pytanie autorstwa Pana dr Piotra Zmyślonego mogą okazać się interesujące i pomocne dla wielu naszych Autorów, którzy zajmują się pisaniem publikacji naukowych lub którzy postanowili, że ich sposobem na życie będzie lub już jest praca na uczelni wyższej. Niezależnie od przesłanych pytań w załączonym liście do mnie profesor Armin Mikos von Rohrscheidt zwrócił uwagę, że w publicznych dyskusjach i do tego jeszcze publikowanych „... nasi młodszy eksperci, nie posiadający jeszcze statusu samodzielnych pracowników nauki, (...) obawiają się wyjść przed szereg i publicznie „mądrzyć” ...”. Z tego właśnie względu ich udział w publicznych dyskusjach jest niewielki. Podzielim ten pogląd, chociaż zapewne obaj z różnymi sprawami wiązałibyśmy te obawy. Poza tym tzw. samodzielność, zarówno w badaniach naukowych, jak i dydaktyce, u nas nie występuje. Pracownik najemny z habilitacją ma wykonywać dydaktykę według punktów Krajowych Ram Kwalifikacyjnych, a tematykę badawczą zgodną z zaplanowanymi regulami, głównie finansowymi. Żadne własne inicjatywy w tym zakresie nie są oczekiwane. O niczym się samodzielnie nie decyduje, bowiem nie jest to samodzielność rzeczywista. Określają ją w każdym przypadku mniej lub bardziej mętne procedury administracyjne Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego.

Mimo że do niektórych pytań nastawiony jestem krytycznie, to jednak uznaję, że są one ważne z dwóch powodów. Dotyczą zarówno spraw szczegółowych, jak i pośrednio dotyczą wielu innych problemów nauki w naszym kraju, z którymi młodszymi ekspertami/autorami przyjdzie się zmierzyć. Potrzebują oni - moim zdaniem - nie tylko fachowych uwag na temat sposobu pisania tekstu czy kwestii metodycznych, ale także porad bardziej ogólnych, aby nie przeżyć gorzkich rozczarowań wstępując do „świątyni polskiej nauki”. Choć ukazuje się coraz więcej ogólnie dostępnych publicystycznych tekstów na ten temat i nikt nie powinien już powiedzieć, że nie wiedział.

Na postawione pytania mniej lub bardziej szczegółowych odpowiedzi udzielili Panowie Profesorowie Dariusz Dąbrowski z Bydgoszczy, Marek Nowacki z AWF w Poznaniu i Armin Mikos von Rohrscheidt. Ogólnie zgadzam się z tymi wszystkimi wypowiedziami. Nie wymagają one jakichś specjalnych moich nowych stanowisk, czy krytycznych uwag, jednak dołączę kilka uzupełnień, wynikających z moich doświadczeń.

Na początku problem samego **zadawania pytań**, które jest dużą sztuką. Dobrze sformułowane pytanie gwarantuje bowiem uzyskanie trafnej i jasnej odpowiedzi. Skomplikowane sytuacje w niepotrzebnie złożonym pytaniu przysłaniają jego sens i nie doprowadzają na ogół do uzyskania w miarę jednoznacznej odpowiedzi. Zamierzony cel pytania jest wówczas zagubiony w słowach. Pytanie dlatego jest tak ważne, bo często może ono mieć większą wartość poznawczą niż same cząstkowe wyniki lub podsumowanie dyskusji, która się na jego podstawie rozwinęła. I nie mam tutaj na myśli pytania standardowego, narzuconego sztympową procedurą badawczą. Niezbędna jest zwłaszcza

umiejętność formułowania własnych pytań, które określają dalszą drogę naszych rozważań o problemie.

Jeszcze większą sztuką jest zadawanie pytań prowokacyjnych. Do tego trzeba mieć wiedzę, doświadczenie i wycucie. Natomiast sugerowanie, że to co robię lub o co pytam to tylko prowokacja, co jest niekiedy widoczne u niedojrzałych zawodowo autorów, jest nieuprawnione. To tylko chęć przykrycia takim stwierdzeniem i zachowaniem braków własnej wiedzy i braku tego rodzaju umiejętności. Najczęściej jest to tak mocno widoczne, że już na wstępie dyskredytuje autora takich pytań. Można w tym miejscu przypomnieć, że surrealiści, dla których duże znaczenie miał element zaskoczenia, absurdu i nonsensu, pisali także otwarte listy m. in. do rektorów mające na celu prowokację intelektualną. Ale w naszym przypadku to nie występuje, chociaż obecne zarządzanie nauką w naszym kraju jest wręcz surrealistyczne i burzy "logiczny porządek rzeczywistości". W zastosowaniu do nauki surrealizm jest nonsensem, ze względu na konieczność trzymania się rzeczywistości bardziej, niż np. w sztuce. To tylko artysta może być surrealistą. Zwracam także uwagę, że dojrzałość zawodowa nie jest obecnie w naszym kraju ściśle związana ze stopniami lub tytułem naukowym tzw. "karier akademickich". W sytuacji zaniku w naszym kraju kultury uniwersyteckiej są to obecnie coraz częściej wykluczające się sprawy. Postawione pytania dotyczące np. kwestii metodycznych, aktualności prezentowanych badań, czy jakości publikacji uznają podobnie jak prof. Dariusz Dąbrowski za dość naiwne, a nie prowokujące.

### **Co różni tekst naukowy od raportu badawczego ?**

Różnice związane są wyłącznie z miejscem publikacji i z odbiorcą-czytelnikiem. Urzędnicy będą zapewne czytać raporty, natomiast publikowane prace naukowe zdecydowanie rzadziej, praktycznie wcale. Raporty mogą dostarczać dodatkowych informacji ważnych dla postępowania administracyjnego, które tego typu odbiorcy będą potrzebne.

Warto w tym miejscu wspomnieć, że istnieją jeszcze innego typu opracowania, bez wątplenia przygotowywane w oparciu o niekiedy bardzo szczegółowe wyniki badań naukowych. Są nimi opracowania prognostyczne, mające bezpośrednie znaczenie praktyczne, którym jest udział w procesie decyzyjnym. Prognoza ma znaczny wpływ na podejmowaną decyzję, dla której jest ona jakby racją bytu. Tak naprawdę to wpływ decyzji i prognozy jest obustronny. Decyzja poprzez swoją treść, przedstawioną w postaci dokumentu administracyjnego, wyznacza bowiem przyszłość, a prognoza jest przeciw opisem przewidywanej przyszłości. Wykonanie wielu prognoz (np. w zakresie ochrony środowiska) określają niekiedy dość skomplikowane procedury administracyjno-prawne. Przeprowadzenia złożonego postępowania w sprawie oceny oddziaływania na środowisko wymagają projekty polityk, strategii, koncepcji, programów. Dla przedsięwzięć mogących znacząco oddziaływać na środowisko sporządza się szczegółowe raporty o ich oddziaływaniu na środowisko. Mogą one zawierać także wiele informacji o obiektach kulturowych, np. na terenach chronionych, lub określać jaki będzie przewidywany wpływ inwestycji mającej służyć m. in. imprezom kulturalnym na środowisko przyrodnicze. Podobnie programy ochrony środowiska, których projekty ostatecznie uchwalają sejmiki samorządowe lub rady gmin, chociaż nie stanowią aktów prawa, to mają jednak charakter określonych postępowań obowiązujących wewnątrz administracji. Prognozują one przyszłość, a ich wskazania mają często także przełożenie na czynniki ekonomiczne. Są źródłem informacji o stanie środowiska i realizowanych zadaniach związanych z jego ochroną, ale także wskazówką dla tworzenia kolejnych tego typu programów.

**Czy wartość tekstu naukowego powinno mierzyć się „świeżością” czy aktualnością przeprowadzonych badań, czy też ich uniwersalizmem, czyli umiejętnością określenia trafnego czyli bardziej uniwersalnego, pozaczasowego (?!), problemy badawczego oraz**

**jakością formułowania wniosków, które można zastosować w szerszym wymiarze niż studium przypadku i czas, którego dotyczą?**

Nie dość, że pytanie jest zagmatwane pod względem treści, to jeszcze problem jest zupełnie błędnie postawiony, na wyraźnie zwrócił uwagę profesor Dariusz Dąbrowski. Jak dotąd o ponadczasowości praw naukowych można mówić tylko w przypadku praw fizyki i twierdzeń matematycznych. A i tu, jak się okazuje - nie zawsze. Cała reszta tych „filatelistycznych” rozważań mniej lub bardziej związana jest z okresem ich powstania. Bardzo często po czasie - na ogół krótkim - autor dowiaduje się, że większość tekstów, którym poświęcił swoje myśli, czas i pracę tak naprawdę nie jest w ogóle istotna. Zjawisko to znane jest także w sztuce. Odkrycia i umiejętności przedstawiania, które były powodem do dumy dawnych artystów, dzisiaj bardzo spowszedniały, stały się wręcz trywialne. Aktem twórczym jest także kontemplacja dzieł sztuki, a jest ona bardzo zmienna w czasie. Podobnie jak odtwarzanie, a nie powielanie zapisu. Odtworzenie zapisu tworzy nowe wartości, nowe dzieło sztuki – twórczość rodzi twórczość. W wielu swoich pismach o sztuce i kulturze wskazuje na to Ernst H.J. Gombrich.

Warto dokładniej także wspomnieć o studium przypadku (*case study*). Jako metoda badawcza studium przypadku stosowane jest w różnego typu badaniach, nie tylko z zakresu psychologii, ekonomii, czy zarządzania, ale także np. planowania przestrzennego, ochrony środowiska, ekologii. Zakłada ono, że wartościowe jest badanie każdego przypadku, a nie wyłącznie poszukiwanie praw ogólnych. Opisując jakąś jednostkę lub zbiorowość jesteśmy zainteresowani wieloma zmiennymi i ich wartościami oraz występującymi między nimi zależnościami. Studium tego typu umożliwia zbadanie złożonej rzeczywistości (zjawiska, obiektu) w jej rzeczywistych realiach. Inaczej mówiąc jest to nauka na podstawie konkretnego przypadku. Szczególną wartością jest to, że studium umożliwia dokładne poznanie przypadków skrajnych, wyraźnie odbiegających od innych. Jest to zatem swoista analiza wyjątków od reguły. Chociaż jako metoda badawcza studium przypadku jest często krytykowane, to jednak nadal jest bardzo popularne. Jego stosowanie wymaga jednak od autora znacznej wiedzy i doświadczenia, bowiem różni się ono istotnie od metod ilościowych. Przykładowo różny jest rodzaj generalizacji: w studium analityczny, natomiast statystyczny w metodach ilościowych. Dobór próby w studium jest celowy, natomiast w metodach ilościowych - losowy. Silną stroną studium jest bogactwo informacji, podczas gdy w metodach ilościowych występuje ograniczona liczba obserwacji. Także logika wnioskowania jest inna: w studium dosłowna i teoretyczna, natomiast w metodach ilościowych statystyczna. I to także budzić może niepokój, bowiem wnioskowanie wyłącznie w oparciu o statystykę może być zupełnie błędne.

**Jaka jest jakość naukowa polskich i zagranicznych publikacji naukowych w zakresie turystyki (kulturowej) ?**

A niby jaka ma być ? Różna, tak jak różni są autorzy i miejsca (systemy), gdzie przyszło im pracować. Publikacja winna być przygotowana z myślą o przyszłym Czytelniku, bo to on jest w sumie najważniejszy. W Polsce na uczelniach jakość publikacji określają wyłącznie punkty i wskaźniki. Nie oznacza to wcale, że ta jakość istnieje, i że teksty wytrzymają próbę czasu. Całość dyskusji na temat jakości publikacji, języka w jakim ma być napisana i miejsca jej wydania jak dotąd w polskim środowisku naukowym dotyczy tak naprawdę głównie publikacji wykonywanych i ogłaszanych za pieniądze podatników z budżetu. Zaprzecza to zasadom gospodarki rynkowej, według których książka tyle jest warta, ile osób zechce ją kupić. Miarą jakości wydawnictwa z zakresu ochrony środowiska i gospodarki komunalnej, które współtworzyłem w Poznaniu przez ponad 20 lat, nie są punkty, tylko raport księgowy o wpływach ze sprzedaży i wielkość stale wzrastającego nakładu. Ale jest zasadnicza różnica między moimi Koleżankami i Kolegami z wydawnictwa a Koleżankami i Kolegami z katedry uniwersyteckiej. Ci pierwsi wszystko muszą własną

pracą zarobić, ci drudzy są na utrzymaniu społeczeństwa, wydając pieniądze budżetowe. Proponuję wielu autorom stanąć przed czytelnikiem w realiach gospodarki rynkowej i wtedy nadejdzie godzina prawdy: musimy dokonać dodruku, bo tak wielkie jest zainteresowanie, albo - nikt tego nie chce, nawet biblioteki za darmo.

Jednak w innym ujęciu pytanie to nasuwać może różne refleksje związane w ogóle z tym, czym jest nauka i czemu ma ona służyć. Z pojęciem "nauka" związane są jak wiadomo różne treści. Nazywana jest tak pewnego rodzaju działalność, którą jest praca badawcza. Oznacza się tak również rezultat tej działalności zawarty w publikacjach nazywanych "naukowymi", przedmiotach materialnych (np. aparatura badawcza), a także nowych formach życia (np. odmiany rośliny, rasy zwierząt). To także pewna instytucja ze swoją strukturą organizacyjną, hierarchią i budżetem. Strukturą i treścią teorii naukowych oraz stosowanymi metodami zajmuje się filozofia nauki. Podstawowym problemem jest określenie zasad kierujących postępowaniem badawczym oraz uzasadnienie ich z punktu widzenia założonych celów. Same pojęcia "nauki" i "metoda" są ściśle z sobą powiązane. Nic tak bowiem nie wyróżnia nauki spośród wszystkich innych dziedzin umysłowej aktywności człowieka jak metodyka, czyli określony przyjętymi standardami sposób rozwiązywania wyznaczonych problemów. Metodyka jako swoistego rodzaju praktyka wykonawcza poszukuje odpowiedzi na pytanie "jak to należy zrobić?". Metodologia skupia się natomiast na teorii odpowiedzi na pytanie "co należy zrobić?". Nic jednak nie jest tutaj stałe. Metody są bowiem zmienne w czasie; mogą się doskonalić lub być zapomniane i odrzucone. Stale opracowywane są także różne nowe metody, nie zawsze lepsze. Nie oznacza to wcale, że poznanie prawdy o otaczającym nas świecie staje się przez to bliższe. Zdolność ścisłego myślenia jest obciążona różnymi doznaniem, które kształtują nasze wyobrażenie o rzeczywistości. Częste u wielu autorów przeciwstawianie nauk humanistycznych przyrodniczym także nie jest absolutne. Są to tylko odniesienia postrzegania świata przez człowieka. Takie, czy inne metody zawsze rozstrzygają jednak o przynależności naszych twierdzeń do nauki. Do tego obecnie dochodzi w naszym kraju coraz częstsze włączanie do procedury badawczej (np. w medycynie, biologii) dogmatów religijnych, a także tkwiąca w naszych umysłach zaściankowość. W wielu środowiskach publikacją naukową jest tylko tekst w języku angielskim, chociaż w konkretnym przypadku może wcale nie być takiej potrzeby. Opis w języku polskim badań populacji myszy na polu pod Mosiną opublikowany w polskim czasopiśmie naukowym jest nic nie znaczącą sprawą lokalną, niegodną nawet przeczytania. Natomiast opis identycznych badań na polu pod Nowym Jorkiem opublikowany w języku angielskim na Zachodzie staje się nauką o znaczeniu światowym, chociaż wnioski wynikające z obu prac są takie same.

Zajmujemy się nie tylko metodami odkrycia i wynikających z tego teorii, ale także metodami uzasadnienia jego akceptacji. Praktycznie jednak całe rzesze pracowników naukowych mało się tym wszystkim przejmują. Mniej lub bardziej przestrzega się reguł gry istniejących w danym środowisku. Jeżeli sprawdzają się i nas uwiarygadniają to działamy - udało się innym, to uda się i nam. Dostaniemy punkty i przetrwamy do kolejnej oceny, pracując w nieprzerwanie trwającym audycie. Audyt i wszelakiego rodzaju sprawozdania stały się wręcz religijnym misterium wykonywanym w warunkach wykluczających się lub błędnych przepisów i braku właściwej organizacji zarządzania i pracy, a mającym z założenia coś niby wyjaśnić i usprawnić. Co ciekawe w sytuacjach krytycznych, np. narastającego wielomilionowego zadłużenia, dąży się aby tylko niczego dokładnie nie wyjaśniać. Całe zastępy młodych i ambitnych Pań i Panów Dziekanów i Prodziekanów ciągle piszą jakieś sprawozdania i wyjaśnienia, najczęściej wielokrotnie się dublujące, bo na ten sam temat, wkładając w to swoje serce, myśli, emocje czas i własną młodość. Nie wiedzą jeszcze tego, co "stare dziekańskie wygi" i wydziałowi "baronowie" już dawno poznali, że mało kto to przeczyta (czyta się jedynie kwoty i sprawdza, czy sumy się zgadzają), a jeśli nawet przeczyta - to i tak to niczego nie zmieni.

Teoretycznymi rozważaniami metodologicznymi w wielu środowiskach mało kto jest w ogóle zainteresowany. My zresztą także. Zresztą niby po co byśmy mieli? Nikt nas nie pochwali, wręcz odwrotnie. Nic bowiem nie jest tak źle widziane w środowisku jak niezależność myślenia, no chyba że nasze autentyczne sukcesy, które mimo wszystko jakoś się pojawiły. Moglibyśmy oczywiście zmienić pracę, ale szybko za murami uczelni okazuje się najczęściej, że nic użytecznego społecznie nie umiemy. A nasze wymyślone przy tej okazji żądania, np. płacowe, budzą na ogół niepohamowaną wesołość pracodawców. Chociaż już w latach 50. XX wieku pisano (Stanisław Ossowski), że pożyteczna praca badawcza to właśnie głoszenie prawdy.

Naukowy obraz świata nie jest wizją pojedynczego człowieka. Aktualny obraz rzeczywistości naszego życia w jakimś głębokim sensie obowiązuje ogół przedstawicieli nauki uniwersyteckiej danej epoki. W takim ujęciu jest więc płynny i nie ma określonych granic. Nikną one w niczym nieograniczonej przestrzeni naszej niewiedzy. I do chociaż niewielkiego ich przesunięcia nie przyczyni się nasz system oświaty, w skład którego w naszym kraju nie wchodzi szkoły wyższe, czy system boloński. Wręcz odwrotnie. Potęguje on i umacnia instytucjonalne niszczenie polskiej kultury.

Wszelki postęp w nauce wymaga nie tylko kompleksowej fachowej wiedzy, ale także zdolności od oderwania się od przestarzałych pojęć, metod i teorii. Wynika on z osobistej odwagi, a także odpowiednich zasobów wiedzy o odpowiedniej jakości. Przewrotnie jednak napiszę: jakby się jednak tak dobrze zastanowić, to po co zresztą tak naprawdę wszystko to badać. Przecież, jak chce europejska tradycja chrześcijańska, całość Natury jest dobra z definicji; cokolwiek jest, jest słuszne i dobre. Świat jest najlepszy, bo jest jedynym możliwym i najdoskonalszym ze wszystkich światów do pomyślenia (Gottfried W. Leibnitz). Jednak jak pisze Ludwik Stomma we wstępie do "Smutku tropików" Claude Lévi-Straussa (Wydawnictwo Opus, Łódź, 1992) należy dziwić się światu i każdej chwili stawiać znaki zapytania przy *"pozornie oczywistym i odnajdywać logikę pozornie dziwaczego i niezrozumiałego"*. Twierdząc za Stommą, że kto (zarówno humanista, jak i przyrodnik) nie przeszedł przez dzieło C. Lévi-Straussa - uważane nie tylko za mądre, ale i piękne - *"nie zazna ani objawienia, ani buntu"*, będzie intelektualnie zupełnie jałowy. Dla podbudowania własnego ego zostaną więc mu tylko urzędnicze procedury naszego ministerstwa.

W wypracowaniu własnego warsztatu niezbędne są moim zdaniem wzorce. I to wzorce osobowe, najlepiej w układzie mistrz-uczeń. Sprawdzone od starożytności w wielu kulturach, także europejskiej, mające prowadzić do doskonałości. Obecnie jednak w naszym kraju tzw. pedagodzy krytykują poszukiwanie doskonałości. Odrzucono doskonałość przy kształceniu wyższym, w programach którego nie widać intelektualnej tradycji epoki. Nie wiadomo dokładnie czym ma być "dzieło" pracy dydaktycznej i wychowawczej, chociaż pierwsza jest często wątpliwa, a drugiej nie ma. Tym dziełem jest jednak absolwent uczelni wyższej. Większość studentów i pracowników mówi obecnie "szkoły", nie widząc w swojej jednostce "uniwersytetu" lub chociażby "uczelni". Rozumiem, że określają przez to stwierdzenie poziom merytoryczny swojej jednostki, która jest to dla nich rodzajem jakiejś "szkoły ponadgimnazjalnej". Dokładniej mówiąc jest to absolwent nie mogący znaleźć pracy i mający poważne braki wiedzy na poziomie szkoły podstawowej i u którego wiedza na poziomie średnim (gimnazjum) okryta jest najczęściej głęboką tajemnicą. Przyjmowane przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego jakościowe kryteria kształcenia są oderwane od rzeczywistości ekonomicznej, społecznej i intelektualnej. W takiej sytuacji rozważenia na temat „mistrz” i „uczeń” są jak najbardziej zasadne i nie są to tylko - jak uważa ministerstwo jakieś mrzonki. „Mistrz” - to wyraźne społeczne uznanie doskonałości. Bycie mistrzem to jednak nie tylko umiejętność zawodowa, ale doskonałość jako wartość pod wieloma względami. Oczywiście dla nikogo nie osiągalna - jesteśmy bowiem wszyscy mniej lub więcej na ogół nieudani. Mistrz może być nauczycielem, jednak większość nauczycieli

mistrzami nie jest i nigdy nie będzie. Wielu tego pojęcia w ogóle nie rozumie. Może być mistrzem nie dla wszystkich, ale tylko dla wybranych. To nie my wybieramy mistrza; to on nas wybiera do prowadzenia i współpracy. Obecnie także przyszli studenci nie wybierają, tak jak dawniej bywało, uczelni głównie ze względu na mistrza-nauczyciela. Najemni pracownicy uczelni w swej masie są anonimowi dla społeczeństwa i najczęściej uznane same przez siebie autorytety kończą się za progiem sali posiedzeń rady wydziału, bowiem mało kto o nich słyszał. Niezrozumiałe jest także twierdzenie, że związane z byciem mistrzem i uczniem doskonałość i doskonalenie niszczyć miałyby indywidualną twórczość. Jesteśmy twórczy, bo perfekcyjnie posługujemy się wiedzą, odrzucamy zbędne rozwiązania i procedury, niegodne myślącego człowieka. Dla ucznia niezbędna jest głównie intensywna samodzielna nauka, jako przygotowanie do wzajemnej współpracy na różnych poziomach i zakresach. Samodzielność z obu stron obejmuje również gotowość nie tylko do sensownego ryzyka, ale i ponoszenia odpowiedzialności, np. w formowaniu osobowości. Uczeń szuka jednak nie tylko wiedzy, ale także - a może przede wszystkim - mądrości. Nie znajdzie jej obecnie w polskim instytucjonalnym systemie kształcenia, który został jej konsekwentnie pozbawiony. Nikogo tak naprawdę nie interesuje po co i czego się studentów uczy. Dla nielicznych wybranych zostają tylko mistrzowie. Ale gdzie ich znaleźć ?

Dla pracy naukowej, realizacji własnych planów życiowych i spokojnej analizy uzyskanych wyników niezbędna jest także właściwa atmosfera w miejscu, gdzie ma być ona realizowana. W czasie ponad 40 lat mojej pracy zawodowej w administracji państwowej, instytutach naukowych PAN i branżowych, uczelniach prywatnych i państwowych, przedsiębiorstwach, spółkach, a nawet spółdzielni pracy i fabryce uzyskałem pewne porównanie związane z jakością i atmosferą pracy we wszystkich tych jednostkach. W mojej - zapewne jednak subiektywnej ocenie - polskie uczelniano-instytutowe tzw. środowisko naukowe wyraźnie się spośród tych wszystkich jednostek wyróżniało. To głównie arena wszelkich antagonizmów, otwartych konfliktów, zawiści i wszelkich frustracji. Małe, najczęściej izolowane od rzeczywistości, środowiska duszą się od wewnętrznych konfliktów i trwających niekiedy latami podjazdowych wojen. Działając w warunkach skrajnie wadliwego zarządzania we wszystkich zakresach i wszechogarniającej, niszczącej wszystko na swojej drodze biurokracji, zniechęcają do działania i odrzucają wielu zdolnych ludzi, preferując jednocześnie wielu słabych w myśl dawnej zasady bierny-mierny-wierny (jest ona ponadustrojowa!). Praca, w której ludzie nie tworzą grupy, stała się miejscem podejrzeń i niezdrowej rywalizacji. Przez całe lata zakompleksiały miernoty, którym nieopatrznie (a w dawnych latach w wielu przypadkach celowo) powierzono kierowanie zespołami ludzi, wyżywały się za własne niepowodzenia na podwładnych i studentach.

Atmosfera (możemy ją nazwać np. moralną) - dobra lub zła, lub jak niektórzy chcą świetna lub mierna - w zakładzie dydaktyczno-naukowym zależy głównie od kierownika i współpracującego z nim zgranego zespołu, rzadziej innych tzw. pracowników samodzielnych, a jeszcze rzadziej od pojedynczych pracowników. Dobra atmosfera zawsze zależy od równania w górę. Ale wszędzie słaby pieniądz wypiera dobry. Jak tutaj równać, kiedy "góra" często jest wątpliwa lub swoim zachowaniem zaprzecza postępowaniu ogólnie przyjmowanemu za przyzwyczajone. Najczęściej atmosfera pracy to mieszanina ambicji, różnych aspiracji, zaufania i nieufności, obaw, krótkich, a obecnie stale już trwających irytacji. W jednostce takiej atmosfery intelektualnej nie było, nie ma i nie będzie. W warunkach braku pracy, potrzeby zdobycia stypendium lub jakiegokolwiek zatrudnienia, awansu, czy przychylności wyrażonej wynikiem tajnego głosowania u wielu osób bardzo duża jest rola strachu będącego elementem samozachowawczym. W wielu zakładach atmosferę agresji i gniewu przez lata kształtowały osoby skłonne do straszenia, siejące nieufność, karierowicze, donosiciele, którzy w ten sposób nadrabiali braki uzdolnień. Istniejący i rozwijany przez ministerstwo system wykształcił już nowe pokolenia takich osób, często zdecydowanie gorszych niż ich poprzednicy w dawnej rzeczywistości. W ciągu 44 lat mojej pracy trafił mi



się przed laty także niesławnej pamięci złodziej i oszust ubrany w profesorski tytuł, którego "wyżsi przełożeni" w PAN stawiali wszystkim za wzór. Ale nawet i to upadło, co nie znaczy, że zostało zapomniane. W takiej ogólnej atmosferze zgrany, życzliwy sobie i innym, koleżeński zespół pracowników (a są także i takie !) na tle innych wygląda dość dziwnie. Wręcz podejrzanie; jak się im udało, w zasadzie nie powinno, nie miało prawa.

Całkowicie zrozumiały jest obecny spadek społecznego zaufania do naszego środowiska, którego elity z własnego mianowania nie działają w imieniu wszystkich, ale głównie dla siebie. W oparciu o swoje zawodowe doświadczenia i jako obywatel mogę tylko powiedzieć: od profesorów-posłów, profesorów-ministrów i rektorów-senatorów uchronić nas Panie! Nieliczne wyjątki sprawdzające się w tych funkcjach są właśnie tylko materiałem na studia przypadków.

I na końcu ostatnia uwaga, do której sprowokowała mnie opublikowana wypowiedź jednego z doktorantów Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza (Łukasz Budzicz, *Wolę punkty od koleśków*, "Gazeta Wyborcza", 24-25 maja 2014). Nie wnikam w wielu poruszanych przez autora kwestii dotyczących reformy nauki w naszym kraju, które pokolenie starych niedouczonej profesorskich ramoli chce ograniczyć, i nie polemizuję z nimi, chociaż widoczna naiwność autora jest tak wielka, że aż boli (młody wiek Go tylko nieco tłumaczy). Większą uwagę zwróciłem natomiast na fragment jednego zdania. Dowiadujemy się, że autor bardzo by chciał opublikować artykuł w zachodnim czasopiśmie w języku angielskim za 30 punktów (czego mu bardzo życzę), jednak dotychczas publikował tylko w czasopiśmie polskich, i - jak pisze - "... nie uznaję tego za powód do dumy." W tym miejscu przypomniała mi się scena, jak to Andrzej Kmicic podczas spotkania z Bogusławem księciem Radziwiłłem, został przez niego poproszony aby rozmawiali po niemiecku "... bo mi od waszej mowy wargi pierzchną".

### **dr Piotr Zmyślony, UEP Poznań**

Bardzo dziękuję dyskutantom, a szczególnie prof. Dariuszowi Dąbrowskiemu, który trafnie rozpoznał moje pytania jako naiwne, albowiem takie właśnie z założenia miały być. Proszę mi wybaczyć ten zabieg, zawierający dozę pozytywnie rozumianej prowokacji. Uważam, że czasem uproszczenia zwiększają „ostrość” wypowiedzi, a tym samym wyzwają wśród rozmówców chęć dyskusji. Szczególnie wtedy – jak już wspomniał redaktor prof. Armin Mikos v. Rohrscheidt – nie uznaję tego pytania jako wyłącznie mojego, ponieważ wyniknęło ono z rozmowy w węższym gronie. Uznaliśmy zatem, że warto je poddać szerszej debacie, szczególnie dlatego, że reprezentujemy interdyscyplinarne grono badawcze, a więc opinie mogą być różne.

Nie chciałbym odnosić się kolejno do poszczególnych szczegółowych uwag odnośnie sformułowań użytych przeze mnie we wprowadzeniu do pytań właściwych podkreślonych pogrubioną czcionką, albowiem wprowadzenie to nie miało przecież charakteru wykładni prawnej, a jedynie miało nadać tło problemowi, który omawiamy, więc mogły się pojawić nieścisłości. Czytając Państwa wypowiedzi miałem jednak niezmacone poczucie, że wszyscy dyskutanci rozumieją ducha moich pytań i w tym duchu się wypowiadali.

Jedyną kwestią z wprowadzenia, do której chciałbym się odnieść, jest kwestia „wstępu bibliograficznego” lub „analizy literatury przedmiotu”, na którą wszyscy dyskutanci zwrócili uwagę. Wspominając to, że artykuł powinien taki element zawierać, nie miałem oczywiście na myśli tego (a także tego nie napisałem), że autor powinien podać wszystkie dotychczas opublikowane prace (do czego odnosi się pierwsza odpowiedź). Trafna synteza, sporządzona za pomocą jednej z trzech najczęściej stosowanych metod analizy literatury, w tym metaanalizy, o której wspomniał dr hab. Marek Nowacki, pozwala na udowodnienie, że autor dysponuje należytych przygotowaniem do osadzenia swoich badań i dociekań w kontekście już „opublikowanej wiedzy” z zakresu, którego te badania i dociekania dotyczą. Podkreślając

wagę analizy literatury miałem zatem na myśli uniknięcie niebezpieczeństwa „wyważania otwartych drzwi”, o których wspominał prof. Andrzej Kowalczyk. Wszyscy lubimy ten dreszcz emocji, który towarzyszy naszym naukowym odkryciom, jednak gdy pojawiają się one zbyt często (pytanie ile to jest często?), to naszym pierwszym odruchem powinien być powrót do badań literaturowych, co wszyscy zapewne robimy.

Nawiązując do sedna omawianego problemu – uważam, że warunkiem tekstu naukowego nie jest jego aktualność, ale warsztat naukowy autora i umiejętność uogólniania wniosków badawczych. Dlatego hołduję podziałowi wyników badania od wniosków, zarówno dla teorii, jak i praktyki (wiem jednak, że to podejście jest charakterystyczne dla dziedziny, którą reprezentuję, w innych przypadkach takie rozróżnienie może być trudne lub nawet niemożliwe). Walor aktualności nie jest warunkiem koniecznym, ale uzupełniającym. Podpisuję się tym samym pod opiniami prof. Andrzeja Kowalczyka oraz prof. Dariusza Dąbrowskiego odnośnie meritum problemu zawartego w zadanych przeze mnie pytaniach.

Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, ale właśnie uogólnienie wyników badania stanowi klucz do rozróżnienia tekstu naukowego od raportu badawczego. Jeśli autor nie widzi uniwersalnych aspektów swoich badań lub nie potrafi sformułować na ich podstawie wniosków odnośnie dalszych badań, niekoniecznie swoich, kwestionuje tym samym w jakimś stopniu naukowość swoich rozważań. Ta uniwersalizacja wniosków badawczych jest bardzo trudna, nie ukrywam, że sam mam z tym największe problemy, ale właśnie dlatego nauka jest tak fascynująca.

„Zadaniem” badacza jest widzieć omawiany problem szerzej niż tylko w odniesieniu do konkretnego w czasie i przestrzeni przypadku, którego badania dotyczą. I tak problem formułować, aby miał on bardziej uniwersalną, a nie partykularną wartość. (W pytaniu użyłem niefortunnego słowa „pozaczasowy”, ponieważ użycie przymiotnika „ponadczasowy” w stosunku do turystyki, która ulega bardzo dużym zmianom, co podkreślali moi przedmówcy, wydawało mi się pewnym nadużyciem, jednak teraz czuję się ośmielony wypowiedziami poprzedników). Nawiązując do przykładu przytoczonego przez dr. hab. Armina Mikos v. Rohrscheidt - artykułu dotyczącego struktury konsumentów usług przewodnickich w Poznaniu i związanego z tym tematem praktycznego problemu dokonywanej przebudowy systemu ruchu autokarów turystycznych w historycznym śródmieściu – uważam, że nawet jego szybsza publikacja na nic by się nie zdała, skoro i tak przewodnicy, jak pisze mój przedmówca „jak jeden mąż ustnie i pisemnie zgłaszały swoje zastrzeżenia”. Jak rozumiem, decydenci mieli do dyspozycji wyniki badań i wynikające z nich praktyczne postulaty, zatem przedstawienie ich w formie artykułu naukowego nie zmieniłoby ich decyzji (albo ja nie wierzę w siłę nauki – w tam razie proszę o wybaczenie). Myślę, że nie jest rolą artykułu naukowego zmieniać rzeczywistość w tak „interwencyjny” sposób, choć zapewne zdarzają się wyjątki. Oczekiwałbym, że – w odróżnieniu od postulatów przekazanych decydentom odnośnie przebudowy ruchu autokarów turystycznych w Poznaniu, a także w odróżnieniu od wszystkich innych raportów badawczych – we wnioskach artykułu naukowego znajdują się rozważania dotyczące uwarunkowań tworzenia systemu ruchu autokarów w historycznym centrum każdego (lub podobnego w wyznaczonych parametrach) miasta, aby w przyszłości inni decydenci – nie tylko poznańscy – mogli się z nimi zapoznać, a badacze turystyki kulturowej nauczyć. I pewnie w tym konkretnym artykule Autor uogólnił swoje rozważania, nadając im wymiar bardziej uniwersalny.

Jak już podkreślałem, nie mam w tym kontekście tak dużego doświadczenia, jak moi przedmówcy, a także nie jestem ślepo przekonany do słuszności moich poglądów, jednak aktualność badań mierzona szybkością publikacji jest dla mnie – nałogowego czytelnika tekstów naukowych – dodatkowym i niekoniecznym ich atrybutem.